

O jeden symbol za daleko

✎ Aleksandra Andrearczyk

11.09.2021
Gdańsk, Opera
Bałtycka
L. van Beethoven
Fidelio

Kiedy we wrześniu 2020 roku – na kilka dni przed planowaną premierą *Fidelio* w Operze Bałtyckiej – rozmawiałam z reżyserem spektaklu Michaeliem Sturmem, powiedział o dziele Beethovena: „Gdańsk to wymarzone miejsce do realizacji tak politycznej opery. W tym roku obchodzimy 40-lecie Solidarności, 30 rocznicę zjednoczenia Niemiec i 250 rocznicę urodzin Beethovena. Ta kumulacja ważnych dat była dla mnie znakiem, że powinniśmy w spektaklu nawiązać do historii rodzącej się, wolnej Europy. Tym bardziej że to właśnie walka o ład społeczny jest głównym tematem tego dzieła”. Niedługo potem wszystkie teatry w Polsce zostały zamknięte i na premierę *Fidelio* w Gdańsku musieliśmy czekać prawie rok. Jeśli melomani spodziewali się fajerwerków i wspaniałych wrażeń, to najnowsza produkcja Opery Bałtyckiej tych oczekiwań nie spełniła. *Fidelio* okazał się typowym przykładem przerostu formy nad treścią. XX-wieczny kontekst historyczny akcentowany przez Michaela Sturma nie pomógł Beethovenowskiej fabule, a wręcz jej zaszkodził.

Najcięższym grzechem przedstawienia jest wydumana wizja reżysera. Sturm, zakochany w micie Solidarności i europejskiej tradycji niepodległościowej, tak odpłynął w stronę własnych fascynacji, że zapomniał o historii opowiedzianej przez libretto. Pierwszy akt – potwornie nudny pod względem akcji i pełen dłużyzn – roi się od dodanych na siłę wątków. Czego tu nie ma! Cytaty niemieckich filozofów wyświetlane na ekranie, długie i niewiele wnoszące sceny palenia ksiąg (poezja polska i niemiecka, Biblia, Talmud), mundury nawiązujące do Holocaustu... Brakuje za to tego, co najważniejsze – dobrze opowiedzianej historii. Drugi akt stał się jeszcze bardziej kuriozalny. Bohaterowie zostali przebrani w kostiumy generała Jaruzelskiego oraz papieża Jana Pawła II, który błogosławi Leonorze i Florestanowi oraz zgromadzonym na scenie gdańskim stocznioowcom.

Nie zachwyca również warstwa wizualna i ruch sceniczny. Melomanom w okolicach dziesiątego rzędu widok przesłania zajmująca część widowni orkiestra. Tę drobną niedogodność życzliwie nastawiony widz łatwo by wybaczył, gdyby przedstawienie okazało się warte uwagi. Niestety odpowiadająca za scenografię i kostiumy Katarzyna Zawistowska podąża krok w krok za wizją reżysera, serwując znaną z poprzednich produkcji Opery Bałtyckiej ascetyczność: zamiast dekoracji wyświetlanie z projektora obrazów, seria mundurów (hitlerowskich, stalinowskich) i zgrzebne stroje stylizowane na lata osiemdziesiąte. Wyjątkiem od tej reguły jest skąpana w całkowitej ciszy – i wyjątkowo nużąca – scena prologu, w której przechadzają się przybrane w biel postacie odzwierciedlające Beethovenowskie ideały, czy też może postacie z mitologii...? Tego możemy się tylko domyślać.

Najjaśniejszą stroną jest warstwa muzyczna. Orkiestra Opery Bałtyckiej oraz Operowy Chór Dziecięcy i uczniowie Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Gdańsku pod dyrekcją Michała Krężlewskiego robią, co mogą, by wskrzesić ducha Beethovena. Wykonanie jest klasyczne, dyskretne i bez niepotrzebnych udrznień, co stanowi świetną przeciwagę dla reżyserskich ekstrawagancji. Soliści prezentują niezły poziom, choć zabrakło prawdziwie scenicznej osobowości. Magdalenie Molendowskiej w roli Leonory nie można odmówić dobrego warsztatu, jednak nie dostawało jej aktorskiej charyzmy. Niełatwo jest śpiewać Beethovena, bo kompozytor nie daje śpiewakom wiele czasu na oddech i nasyca partie wokalne niebezpiecznymi skokami. Mam wrażenie, że artystka tak bardzo skoncentrowała się na trudnościach technicznych, że zapomniała o tym, iż trzeba nie tylko śpiewać, ale i grać. To samo można powiedzieć o Ewie Majcherczyk (Marcelina) i Bogdanie Kurowskim (Rocco). Wyjątkiem jest Leszek Skrla (Pizarro), którego pojawienie się na scenie wreszcie wniosło do akcji trochę życia i mocniejszych barw.

Fidelio Michaela Sturma tak niewiele ma wspólnego z dziełem Beethovena, że rodzi się pytanie – czy to aby na pewno ta sama opera? Reżyser poszedł w swoich poszukiwaniach za daleko. Zarzucił widzów symbolami, nie dbając o jakiegokolwiek prawdopodobieństwo obrazów, za to uświadamiając nam, jak łatwo patos przerażda się w kicz.